



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

W UPADKU.

W głębi upadku niemocą rzucony
Badał człowieczy duch...

Był bez ochrony

I bez otuchy, jak bezsterna nawa...
Z ran mu posoka sączyła się krewawa,
Na usta pianę wydobyły zgrzyty—
Leżał bez ruchu, winą swą przybity.

Lecz w skardze ducha, ponad bagna męty
Nie lęk o pomstę z piersi biegł ściśniętej;
Nie rozpacz czarna, jeno wstyd,—ten szary
Pokutnik, mściciel, wykonawca kary.

A z wstydem, bratnie zawarła przymierze
Pamięć, jątrząca ciągle rany świeże,
Jakby potworny sęp Prometeusza...

Ostatek siły co sercem porusza
One wyzarły i glucho, bezwiednie,
Jako ta gwiazdka, która naraz blednie
Jako liść, wiatru oderwany ręką,
Duch runął...

Nagle uczuł, jak ktoś miękka
Dłoń mu podaje, jak z grzeskiej topieli
W pół już martwego dobywa—i ścieli
Posłanie z kwiatów, a potem skrwawioną
Duszę układa na niem, wlewa w łono
Nowy sił zapas i rany umywa...

I głos usłyszał z dali: „Jam prawdziwa
Miłość. Ja spajam znów, co wina zrywa.
Widziałam ból twój, wstydu twego bladeść:
Dziełu pokuty, stało się już zadość.
Na mojem łonie wypłacz żal dziecięcy
I wstań—i w życie idź—i nie grzesz więcej!”
St. Rossowski.

POGAWĘDKA.

Jakkolwiek zapowiadano, że bieżący karnawał pod względem *hulaszczości*, że się tak wyrazimy, nie dorówna swoim poprzednikom, rzeczywistość zdaje się zaprzeczać tym przepowiedniom, a choć bieżącego roku zapusty są bardzo długie i nie mało jeszcze czasu upłynie zanim popiołem grzeszne posypimy głowy—nie znać znużenia, ani braku ochoty do piasów, bal następuje po balu, brzmi gędźba i śmiech wesoły, dalej, dalej i dalej posuwają się rozbawione pary, a zaledwie błądy świt błysznie, zaledwie znużone przespią się powieki i ścichną echa tanecznej kołysanki—znowu to tu, to tam, odzywają się dźwięki balowej pobudki nowymi czarami uciech nowych, wzywając szczęśliwców do tanecznego koła. I mienia się blaski i tęcze i—jak duchy—rozwiwane w mgłę różnobarwną, płyną zawrotnym wirem walca piękne postacie widm białych w czarnych szatanów ramionach.

Jak wśród bukietu kwiatów o kolorach jaskrawych i żywych, gdzie złoto z purpurą, białość śnieżna z pysznym fioletem się miesza, pochyły, blade kielich polnego dzwonka stanowiłby pełen

rozdźwięk w ogólnej harmonii barw—tak na balu pewnym, pewna z dojrzanym przeze mnie tancerem, z twarzą piękną, lecz zbyt poważną, czy smutną dziwnie odbijała od ogólnego tła zabawy, wśród której myśli wszelkie o troskach codziennego życia wionęły gdzieś daleko, zastąpił zaś je bożek śmiechu i zapanował niepodzielnie nad tem wszystkim, coby mogło chwilę uciechy popsuć. Tancerka, o której mowa, nie pogardziła żadnym tańcem. Twarz jej piękna i strój piękny, lekkość ruchów i powab młodości pociągały ku niej tłumy piasarzy—i raz wraz podnosiła się z zajętego tylko co miejsca, na ramieniu mężczyzny opierała swoje białe, prześliczne ramię i w piasz szła. Ale—wstawiała bez uśmiechu, obiegała raz i drugi salon, jakby bez myśli o tem, co czyni i zajmowała przed chwilą opuszczone miejsce z tym samym a jakimś sennym spokojem, z jakim podawała rękę proszącemu ją do piasów tancerzowi. Zdawało się nawet, że nie nużył jej ruch tańca: na policzki lekki, zaledwie dojrzany rumieniec wybiegał, odrobinię pierś silniej falowała, szybciej poruszały się czarne pióra utrzymanego w rękę wachlarza, a oczy obojętne posuwały się wzdłuż i wszerz salonu.

Nie zdziwicie się zapewne, gdy powiem, że piękna nieznajoma zaintrygowała mnie trochę i szczególniejszą uwagę na siebie zwróciła.

Należąc do ludzi żywego usposobienia, nie lubię półowiczności w niczem:

Smutek to smutek, zabawa to zabawa. Drażnił więc mię nieco ten spokój czy apatia nieznajomej tancerki. Spotkawszy znajomego, zapytałem o imię i nazwisko tej zagadkowej postaci i zażądałem, by mnie jej przedstawił.

Po chwili siedziałem przy niej i prosiłem o chwilę rozmowy.

Zdziwionemi trochę oczyma spozjrzała na nieznajomego interlokutora, ale snadź sama zaciekawiona była pierwszą wymianą słów, bo żadne-

mu już z proszących ją tancerzy nie podała swej rączki, choć w powietrzu kołysały się dźwięki rozkosznego walca, szal upojenia coraz bardziej ogarniał wszystkich, zabawa dochodziła do szczytu zapamiętania się.

— Ale—rzekłem, widząc, że stanowczo wyrzeka się tańców dla towarzystwa mojego—może grzeczność pani, jest połączona z pewną ofiarą dla niej?

— O, nie—odpowiedziała—bo może lepiej zabawię się rozmową prowadzoną z panem.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem odpowiedź pani, to—taniec nie wiele ją bawi?

— Zgadłeś pan.

— Czy jest ku temu przyczyna jaka?

— Wszystko przecie mieć swoją przyczynę musi.

— Pozwoli pani, że wezmę na siebie rolę odgadywacza?

— Żadnych przeszkód panu nie stawiam.

— A jeśli odgadnę?

— Powiem szczerą prawdę.—Gdybyś się pan nawet pomylił nie sprzeniewierzę się wypowiedzianemu przed chwilą słowu szczerości—ale chcę wiedzieć, czy pan jesteś dobrym znawcą ludzi. Rzucaj więc pan pytania.

— Czy należysz pani do rzędu kobiet zamożnych?

— Tak—nie zbywa mi na niczem; mam więcej, niż tego wymagają osobiste moje potrzeby.

— Czy z własnej woli pani jesteś na zabawie dzisiejszej?

— Zależało ode mnie: być tu lub nie być.

— Zrobiłaś na mnie pani wrażenie osoby, która z przymusem jakimś oddaje się ogólnej weselości. Pani się nie bawisz wcale.

— Masz pan słusność.

— Tańcząc, nie myślisz pani o tańcu.

— Nie myślę o niczem...

— Tak?

— Dziwisz się pan?

— Bo tem powiedzeniem splatałaś pani zupełnie szyk moich domysłów... Teraz, nie wiem doprawdy, co mam myśleć, co mówić. Nic mi zatem nie pozostaje, jak tylko poprosić panią o—szczerłość...

— Przymuszenia nie cofnę. Ale—jaką pan chciałeś odnaleźć przyczynę mojego usposobienia, które zwróciło uwagę pańską? zapytała z uśmiechem.

— Myślałem, że tą przyczyną był—smutek.

— Nie—nuda!...

Zatrzymałem spojrzenie długie na pięknej twarzy mojej sąsiadki.

— Czy pan rozumiesz to słowo? spytała po chwili.

— Niby tak, pani! Ale zrozumieć i odczuć wrażenie wypowiedzianego przed chwilą wyrazu—to są dwie rzeczy odrębne. Mój Boże, pani się nudzisz!... Nie masz że pani czem życia zapełnić?

Wzruszenie ramion odpowiedzią całą było.

Nie mogę powtórzyć wszystkich szczegółów prowadzonej rozmowy, powiem tylko, że wzięłem na siebie rolę lekarza i miałem cierpliwą a chętną słuchaczkę.

Pani D... nie! nie pani, lecz panna D... była córką zamożnych rodziców i mieszkała na wsi. Trochę jednak poważniej, niż inne jej rówieśniczki patrzyła na życie, lubiła nawet taniec i zabawy ale nadmiar ich nie mógł zadowolnić jej pragnień duchowych. Bawić się, ciągle się bawić—to nie jest zadaniem życia. Odwiedziny sąsiadki nie mogą także pewnej czczości duszy zapełnić, a chciała coś zrobić, czemś się zająć, stać się malutkiem kółkiem w ogromnej maszynie świata.

Rozmawiałem z nią długo i wiele poruszyłem zadań, o których nieraz na szpaltach niniejszego pisma wspominałem, mogących rozpędzić „nudy“ zamożnej kobiety, mieszkającej na wsi. Tak rozmawiając, potrafiłem o jedną jeszcze sprawę, na którą chciałbym zwrócić uwagę moich czytelniczek i wzbudzić szczerze zajęcie się nią, co także byłoby jedną więcej kropelką, kropelką ożywczą w rządzie rozmaitych prac, że tak powiem,—panien naszych.

Mam tu na myśli znikanie coraz większe charakterystycznych strojów naszego ludu. Wiadomem jest, że okolice wszystkich miast większych, coraz bardziej „cywilizują się“ pod tym względem. Mówię to w znaczeniu ironicznym, bo stanowczym jestem przeciwnikiem zamiany sukman i kapot na „tuziurki“ i „pidżaki“, typowych kapeluszy na „melony“ miejskie. Czemu się to dzieje, długo możeby było o tem mówić, ale niezbitym jest faktem, że tak w stroju mężczyzn jak kobiet i dziewczyn ludu wiejskiego ogromna zachodzi przemiana i po upływie nie długiego może pół wieku, we wspomnieniu już tylko zostanie jakiś kaftan szyty, suknia bramowana, strój panny młodej, czepiec matrony, żupan odświętny, ubiory swatów i swachn.

Na znacznej przestrzeni ziemi polskiej panuje ogromna różnorodność strojów. Wyróżnia się niemal okolica od okolicy, wieś ode wsi,—czasami gdzieś niegdzie już tylko można spotkać szczątki dawnych ubiorów.

Czy nie byłoby z wielkim pożytkiem dla etnografii krajowej, ażeby panie nasze, mieszkanki wsi, te szczególnie, którym czas i pieniądz wstrętu nie czynią—zajęły się szczerze zbieraniem tych zabytków, zapisując okolicę, gminę, wieś z których wzięty taki a taki strój został. Nie byłoby zbytecznym także, zrobić krótszą uwagę o tych ubiorach, które jeszcze lud nosi, jak i o tych, które wychodzą z użycia, jako też w czem i jaka nastąpiła zmiana.

Szczególnie ciekawą być może charakterystyka strojów kobiecych, z których bądź co bądź, niejeden szczegół mógłby się przyczynić do upiększenia i naszych modnych dziś sukien, mogliśmy nawet i swoje własne *mody* stworzyć, nie oglądając się zbytecznie na Paryż, Wiedeń czy Berlin.

W niektórych okolicach kraju naszego jak, na przykład w księstwie Łowickim, w miasteczku nazwanem „Główne“ ubiór głów kobiet zamężnych odznacza się taką wytwornością i smakiem estetycznym, że nasze strojniste wieleby zeń skorzystać mogły. Przecie i nasze panie w „kapotki“ jakieś ubierają swoje główki. Modniarki silą się na koncepta, mną aksamity i tiule, wytwarzają dziwolagi, bez żadnych prawideł,—że tak powiem,—architektoniki. Tym czasem strój niejeden wieśniaczki naszej, może wzbogacić pomysły, a nie idąc ślepo za zagranicznymi wzorami, mogliśmy choć w dziedzinie mody, coś własnego, swojskiego stworzyć.

Połączylibyśmy piękne z pożytecznym: etnografowie podziękowali by paniom naszym za zachowanie od zatraty zabytków strojów dawnych, a główki niewieście ubrałyby się może w czepczki, czy kapotki wzorowane na swojskich motywach. Krom tego i trzeci by wynikł pożytek: znalazłoby się zajęcie jakieś, zajęcie pożyteczne, a już to samo przeświadczenie obciążłoby trochę piórek brzydkiej nudzie.—Nie wspomina my tutaj o pieśniach, podaniach, zabobonach po dziś dzień trwających pośród ludu, choć one tak bardzo przyczynają się do krajoznawstwa, a niebadane są dotąd dostatecznie.

W rządzie różnych zatrudnień, zabijających czas ciężko się wlokący,—podane przeze mnie zajęcie wypada bardzo na czasie, albowiem wspomniane czepce i kapoty znikają prawie z dniem każdym z powierzchni naszej ziemi, podobiznę więc ich zachować dla muzeów jest obowiązkiem bardzo wdzięcznym.

* * *

Był kiedyś wielki człowiek i prorok wielki a imię mu było Piotr.—Wiemy gdzie się urodził, czem był, jakie zgłoski ogniste na zakrytych kartach dziejów naszych pisał.

Pod samym bokiem Warszawy jest Grójec, a tuż przy Grójcu znajduje się folwark *Skargów*, gdzie na stronie północnej, na wzgórzu znajduje się dworek, miejsce urodzenia znakomitego kaznodziei. I oto co o tym dworku pisze pan Wł. Kam. korespondent „Wieku“:

„Pstry, dziurawy i omszały dach, wypukłe i spruchniałe ściany, odarty tynkt, szpary i szczyrby w kominie, pokrzywione futryny okien i drzwi i t. p. dezolacyjne świadczą o zgrzybiałej starości dworku, w którym przed blisko trzema wiekami (1563 r.) ujrzał światło dzienne ksiądz Piotr Skarga, herbu Radwan, znakomity kaznodzieja Zygmunt III, literat, mąż światliwy i prorok narodu.“

Mimo to był czas, że dworek ten był skazany na zburzenie; zażegnano jednak niebezpieczeństwo. Żeby zaś po raz wtóry od podobnego uchronić go wyroku, według rad wspomnianego korespondenta, potrzeba byłoby ten dworek kupić, tembardziej, że nabycie całego folwarku składającego się z dziewięćdziesięciu morgów ziemi i zostającego w posiadaniu różnomyślnych właścicieli a nadto nieletnich, nie przedstawiałoby wielkich trudności. Nim jednak to nastąpi, istnieje projekt uczczenia miejsca urodzin Piotra Skargi jakąś trwalszą pamiątką.

„Rada opiekuńcza w r. 1855-ym uczciła tymczasowo pamięć księdza Piotra tablicą z granitu, umieszczoną w ścianie miejscowego kościoła z odpowiednim napisem. Miaso jednak ma zamiar wystąpić do władzy z podaniem o pozwolenie postawienia fundatorowi domu kalek i starców poważniejszej i trwalszej pamiątki.“

Być może, że urzeczywistniona zostanie myśl dobra, ale zanim to się stanie, stary, omszały i zgarbiony domek runąć może. Kiedyś w tej sprawie zabierał głos „Tyg. Illust.“, „Wiek“ i „Kuryer Warszawski“—dziś znowu ona nam się przypomina i każe nam szybko pomyśleć i szybko działać ażeby pamiątka drogocenna po wielkim mężu nie uległa zupełnemu spustoszeniu.

Po napisaniu tych słów, wzrok mój padł na numer „Kuryera Codziennego“ z dnia 14-go Lutego i oto co wyczytałem w rubryce pod napisem „Z chwili.“

„Wskutek ostrych wystąpień rządu niemieckiego przeciw polakom i odnośnych mów w parlamencie niemieckim, wielu z pośród kupców warszawskich (czemuż nie wszyscy!) utrzymujących dotąd stosunki handlowe z pruskimi domami handlowymi, zawiadomiło te ostatnie, iż odtąd przestają być ich odbiorcami.“

Zatrwożeni tem fabrykanci niemieccy wysłali natychmiast do Warszawy przedstawicieli i agentów swoich, celem zbadania i o ile możliwości naprawienia zagrożonych zerwaniem stosunków na miejscu.

I oto w tych dniach nawiedziło Warszawę kilkunastu agentów handlowych pruskich. Przeważna ich część przybyła z Berlina i Frankfurtu.

Agenci starają się wszelkimi sposobami przywrócić dawne przyjazne stosunki z odbiorcami tutejszymi, a więc dają towar „prima“ długoterminowy kredyt, bajecznie niskie, niepraktykowane ceny i t. d.

Wszystkie te jednak zabiegi okazały się bezskutecznymi. Kupcy nasi uparli się, trzymają się twardo, nie dając się wziąć na ładne słówka i obietniczki.

Odtąd obstalunki wszelkie skierowano wyłącznie na Austryę.

Inicjatywę w tym tłumnym objawie solidarności, dali składnicy materiałów piśmiennych i galanterii.“

Cóż możemy od siebie dodać?

Nie—tylko, że samopoczucie godności własnej coraz więcej rozbudza się w duszach; tylko, że coraz więcej rozumiem się staje, iż jedno się wytwarza się, a z każdą siłą liczyć się trzeba

Tylko co powróciłem z teatru.

Co mię porwało?

Opera?

Nie—

Balet?

Tembardziej nie—

A więc?

„Turniej“ Stanisława Kozłowskiego.

Jeżeli poznaliście mnie dobrze, szanowne czytelniczki, to wiecie, że nie jestem zdolny do krytyki wyszukującej błędy i wady. Przeciwnie—zwracam zawsze uwagę na dodatnią stronę utworu, i jeśli miałbym już o czymś przemilczeć, to właśnie o usterkach, chętniej dając ucho temu, co jest piękne i dobre.

Poszedłem na „Turniej“ ciesząc się już myślą samą, że ujrzę dramat przez pióro swojskie napisany. Wysłuchałem go z największym zajęciem, wróciłem zadowolony, zadowolony podwójnie: po pierwsze, że rzecz jest warta widzenia, a po drugie—że, ogadana publiczność nasza, nie zraziła się wcale wiadomością o przedstawieniu dramatu, lecz szczerze zapelniła Teatr Wielki, słuchając z zacięciem tragedii rozgrywanej się na tle epoki odrodzenia sztuki malarskiej.

Nie mając zamiaru pisania krytyki utworu p. Kozłowskiego, powiem tylko, że sztuka jest bardzo efektowna, robi wrażenie podniosłe, do samego końca widza interesuje i nie powinna schodzić z naszego dramatycznego repertuaru. Autor szczególnie umie porywać i zacięciem widza silnym zakończeniem aktów; jeżeliby częściowo i osłabło wrażenie, efekt końcowy każe o tem osłabieniu zapomnieć i na nowo rozbudza zacięciem. Najsilniej i najlepiej zbudowane są pierwsze trzy akty dramatu; odtąd następuje spadek wrażeń i efektów, rzecz słabnie stanowczo, tak, że już bez należytego i spodziewanego wrażenia, rzecz cała dobiega do końca.

Publiczność owacyjnie przyjmowała autora, który wywoływany grzmiotem oklasków kilkakrotnie pojawiał się na scenie; z całego serca i my w dłoń uderzaliśmy, życząc nowych zdobyczy i laurów na polu niezbyt bogatej dramaturgii ojczystej. Bezwarunkowo, zasłużył i autor na uznanie i reżyser, który rzecz wystawił. To też gorącymi oklaskami witano p. Bolesława Ładnowskiego, co było znamienym dowodem, że publiczność nasza nie gardzi dramatem, że nie tylko ją zająć może głupia farsa wzięta z bruku paryskiego, lub jakaś tandeta domowego wyrobu. Gorące przyjęcie „Turnieju“ niech będzie zachętą dla naszej reżyserii do przedstawienia więcej sztuk podobnych. W skarbcu literatury chociażby doby ostatniej, znajdzie się dramatów parę i tragedii parę, które są godne ujrzenia światła kinkietów. Trochę chęci i dobrej woli reżysera i dyrekcyi a sztuka nasza stanie na właściwym poziomie—i nie będziemy zmuszeni, jakby bankruci jacy—zaciągać pożyczki u zagranicznych naszych sąsiadów. Powodzenie zobowiązuje—niech o tem pamiętają ci, w których rękach spoczywa los sztuki.

O grze aktorów nie będę mówił, bo nasi artyści dobrze grają. Wystawa była wspaniała, stroje dobrze dobrane, całości nie do zarzucenia nie mamy. Rzecz tylko sama trochę się zadługo przeciąga, ale to już jest winą przydługich trochę antraktów. Na to poradzić trudno, widocznie jest wadliwą maszyneryą sceny, gdy temu złu zapobiedz nie można.

Daj Boże ażebyśmy nie długo znów doczekali się sztuki poważnej, na naszym gruncie zrodzonej. Jeżeli ci, w których ręku spoczywa los warszawskiego teatru dbają o to, by dobre wspomnienie zostawić po sobie, niech szerzej wrota otworzą tragedii i dramatom a nie zbraknie im życzliwości i wdzięczności naszej.

??

ELIZA ORZESZKOWA.

(Dalszy ciąg.)

Druga większa powieść Orzeszkowej, na tle żydowskim osnuta, *Meir Ezołowicz* rozpatruje tylko stosunki w sferze żydów małomiasteczkowych, zlekka jeno potrącając jakby nawiasowo o ich stosunek do szlachty. Jest to powieść, którą raczej tragedią nazwałby się godziło, tragedią, która chyba w niczem nie ustępuje rozgłosnemu utworowi Gutzkowa. Bohater powieści Meir—to Uriel Acosta, co za swe zacne pragnienia, za wielką miłość swoją stanął przed sądem rabina i współwyznawców i został wyklęty i skazany na wygnanie. Autorka umiała tu doskonale odmalować nie tylko charakter i wewnętrzną walkę swego bohatera, ale i psychologię tłumu ograniczonego, namiętnego i sfanatyzowanego, a także, co już jest zaletą dramatu, umiała, rozwijając stopniowo akcję, kolejno wprowadzać na scenę te wszystkie czynniki, co ostatecznie musiały doprowadzić do katastrofy; chwila jej, będąca punktem kulminacyjnym utworu, t. j. akt wyklęcia w bożnicy, odmalowana jest z wielkim mistrzostwem, dzięki czemu czyni niesłychanie tragiczne wrażenie na czytelniku. Jeżeli obok tego zwrócimy uwagę na doskonale uwydatnione podrzędniejsze figury w utworze, plastyczne odzwierciedlenie różnych rysów i cech ujemnych ich charakteru, na które autorka, jak i w poprzedniej powieści, nie zamykała oczu, ciemnoty umysłowej, zacofania, fanatyzmu, brak wszelkich skrupułów w stosunkach z różnowercami, pseudo-cywilizację jednostek przybyłych z miasta i t. d. — będziemy musieli tę powieść Orzeszkowej do rzędu stworzonych przez nią arcydzieł zaliczyć.

Nie kierowana żadnymi uprzedzeniami, a obok tego niezmiernie wrażliwa na wszelką niedolę ludzką autorka chętnie kreśli i wśród sfery żydowskiej typy dodatnie, zwłaszcza tych biedaków, co skazani są na nieustanne dźwiganie ciężkiej taczki życiowej. Z pod łachmanów rada wydobywa ukryte jasne strony ducha ludzkiego, strzegąc się przytem wszelkiej przesady. Pod tym ostatnim względem jednej tylko postaci żydowskiej u Orzeszkowej możnaby uczynić zarzut zbyt idealizowania, a mianowicie lichwiarzowi Wigderowi w *Paniu Grabie*, który zbiera bogactwa z myślą złożenia ich na ołtarz sprawy narodowej, aby przyczynić się do ulżenia doli swych współbraci, do odbudowania świątyni jerozolimskiej. Natomiast z zupełną prawdą występują przed nami takie charaktery, jak Chaita (*Daj kwiatek*), Gedali, kramarz wędrowny, a nadewszystko stary Berek, zegarmistrz (*Ogniewa*), którego łączy z arystokratą niedostrzeżalne dla tłumu ogniwa, dzięki którym wielki pan chętnie kilka godzin spędza na przyjaznej pogawędce z żydem i dzięki którym później ten sam żyd idzie za trumną arystokraty.

Poza typami szlachty drobnej i żydów występują u Orzeszkowej typy ludowe. Chłop w powieści ukazuje się u nas plastyczniej poraz pierwszy u Kraszewskiego, który wśród nielicznych oklasków z jednej strony, natomiast licznych głosów oburzenia z drugiej ukazał nam duszę chłopą, przyznając mu cechy i prawa ogólnie ludzkie. W swoich powieściach ludowych stanął on w obronie jego przeciw nadużyciom ze strony panów, a w dalszym ciągu w tej samej kwestyi zabierali głos i inni powieściopisarze, jak np. Jeź, lub nawet i poeci (Syropomla, a wcześniej jeszcze poraz pierwszy Mickiewicz zaznaczył oburzenie swoje wobec złego postępowania panów z chłopami w II-giej części *Dziadów*).

Orzeszkowa wystąpiła na pole powieściopisarskie w chwili, gdy reforma włościańska, za którą tak gorąco przemawiali poprzedni pisarze, stała się już faktem dokonanym; przeto pisać w dalszym ciągu o ucisku lub nędzy materyjalnej chłopą byłoby teraz anachronizmem; nato-

miast ukazuje się inna wielkiej wagi kwestya, a mianowicie kwestya oświaty ludu, na którą silny nacisk położyła autorka. Wprawdzie w pierwszym swym utworze ludowym, a zarazem najpierwszej swej pracy drukowanej, p. t. *Obrazek z lat głodowych* (1866) odmalowała jeszcze nędzę chłopą i obojętność wobec niej panów, atoli już w dwóch następnych opowiadaniach (*Sym stolarza* i *Z życia realisty*), w których chłop występuje, porusza już, wprawdzie zlekka tylko, kwestyę oświaty, która w przyszłości ma zatrzeć wszelkie różnice między obiema warstwami społecznymi. Dopiero w dwóch, o wiele później napisanych powieściach ludowych (*Niziny* i *Dziurdziowie*) z całą siłą uderzyła autorka na brak oświaty wśród ludu, kreśląc w barwach niezmiernie posepnych opłakane skutki ciemnoty. W *Nizinach* ofiarą swej naiwności prostaczki staje się wyrobnica Krystyna, którą wyzykuje pokątny doradca za pośrednictwem faktora w osobie żołnierza urlopnika i zabiera biednej kobiecie ostatni grosz ciężko zapracowany, ludząc nadzieją uwolnienia jej syna od wojska. Niezmiernie żywymi barwami z wielką prawdą życiową kreśli tu autorka z jednej strony naiwną prostotę i dobrą wiarę biednej wieśniaczki, a z drugiej całą beczelność t. z. pokątnych doradców, zastawiających jak pajak sieci na ludzi ograniczonych i łatwowiernych. W *Dziurdziach* groza dramatu jest o wiele silniejszą, niż w poprzedniej powieści, a wynika to z natury samego faktu, jako przedmiotu opowiadania. Tu bowiem ciemnota prowadzi do zbrodni, której dopuszczają się chłopi, mordując niemiłosiernie kobietę, posadzoną o czary. W obu tych utworach Orzeszkowa jakkolwiek bezpośrednio tendencji swej nie wyraża, a tylko obiektywnie kreśli po mistrzowsku same fakty, atoli przewodnią myśl autorki bardzo łatwo zrozumieć można. Więcej światła—zdaje się, woła ona—a ustana zbrodnia wśród tych mas ciemnych: więcej światła, a przestaną one być ofiarami niesumiennych wyzyskiwaczy!

Działu powieści ludowych krytyka zalicza także i *Chama* Orzeszkowej, chociaż, mem zdaniem, niesłusznie, bowiem jakkolwiek głównym bohaterem powieści jest chłop, rybak nad Niemnem, wszakże autorka nie daje tu ani zwykłego typu chłopą, ani też żadnej tyczącej się ludu kwestyi nie porusza. *Cham*, to skończony arcydzieło pod względem artystycznego wykonania, jest całkowicie powieścią psychologiczną, w której mamy doskonały wizerunek kobiety wprost, jako histeryczki, i niezmiernie starannie wykończony typ człowieka nieukształconego o niezgłębionej dobroci serca, zdolnego w imię miłości chrześcijańskiej do największych ofiar i do przebaczenia najboleśniejszych krzywd, wyrządzonych sobie. Niektórym poprzednim powieściom naszej autorki można niejednokrotnie zarzucić brak staranniejszego wykończenia szczegółów, nieproporcjonalność części składowych, wreszcie brak pogłębienia i rozwinięcia charakterów; od tych wszystkich zarzutów jest całkowicie wolnym *Cham*, w którym dowiodła Orzeszkowa, że zarówno umie wnikać w naturę człowieka i to człowieka wyjątkowego, jako typu, i w kształtach plastycznych uwydatnić wszystkie jej objawy. Powieść ta, jako czysto psychologiczna, jest już temsamem beztendencyjną, jedynym utworem w tym rodzaju u Orzeszkowej, a jeśli byśmy już koniecznie chcieli i w niej jakąś myśl przewodnią upatrywać, to moglibyśmy powiedzieć chyba to tylko, że autorka wykazuje tu, jak olbrzymim i dobroczynnym jest wpływ prawdziwej gorącej wiary, która prostego nieukształconego chłopą uczyniła zdolnym do największych ofiar i nauczyła przebaczać największe krzywdy.

J. Nitowski.

(Dokończenie nastąpi.)

NA ZASCE

POWIEŚĆ

przez

M. N. Sas-Junoszę.

(Dalszy ciąg),

V.

Spokojnie i bardzo jednostajnie płynęły Janinie dnie w samotności.

Stara klucznica dobra bardzo kobieta dość nawet rozmowną była, ale łatwo zrozumieć, że rozmowa ta nie była wielką dla Janiny pociechą, nie myślała też z niej korzystać. Ale w szkółce wiejskiej mieszkała dość młoda jeszcze nauczycielka, osoba wykształcona od niedawna przybyła w te strony i tam często młoda sierota zabiegała. Panna Olimpia Kręcka naturalnie nie była przypuszczaną do pałacu; hrabina wierna swoim zasadom nie lubiła otaczać się ludźmi z niższej sfery, choćby wykształcenie i nieskalany charakter zastępowały socyalne braki. Janinie jednak nie bronila bywać w szkółce, wyrażając się, że: *qui se ressemble s'assemble*.

Chodziła więc Janina do małego dworku za ogrodem, słuchała cierpliwie opowiadań klucznicy, i pracowała dużo.

Kazimierz na jej list odpisał, że w obecnej chwili nie może w żaden sposób wiaść siostry do siebie. Rozpoczął praktykę z zamiłowaniem ale dochody jego były jeszcze dość szczupłe; prosił siostrę w serdecznych słowach o cierpliwość... za jaki rok może jego dola zmieni się na lepsze.

O Kamilli Kazimierz nie czynił żadnej wzmianki, widocznie czuł, że w obecnej pozycji swojej nie może myśleć o niej, a może i on także przyszedł do przekonania, że wszelkiej nadziei wyrzec się wypada... może i on przestał kochać...

Zmartwił ją ten list... i nie odpisała bratu, bo i cóż pisać miała? O Kamilli pisać nie chciała i nie mogła, a zapytać się bała. Zmartwił ją także ze względu na nią samą. Musiała więc—tu zostać Bóg wie jak jeszcze długo, znosić kaprysy, przycinki, prowadzić życie bez wyraźnego celu, i nie mieć nawet zadowolenia, które uczciwa, sumienna praca daje. Ale, że Janina posiadała sporo energii, więc nie poddała się zwątpieniu, tylko usilniej pracować poczęła, aby w razie danym być w możności zarobienia na chleb powszedni.

Panna Olimpia była jej bardzo pomocną w tej pracy, to też co dnia prawie Janina zasięgała jej rady.

Luty się zaczął. Dnie były mroźne ale pogodne. Janina wróciła pewnej niedzieli z kościoła; świeże powietrze zarumieniło jej lica, a w oczach malowało się zadowolenie z powodu odbytej niedalekiej przejażdżki saniami.

Weszła na dół, do saloniku—gdzie suty ogień palił się na kominku, i gdzie cały dzień spędzać była zwykła, usiadła do fortepianu i rozkoszowała się ulubioną sobie muzyką, grając i śpiewając—na przemian. Czując się samą, wiedząc, że jej nikt nie słucha ani krytykuje, śpiewała z całą swobodą i stokroć lepiej niż zwykle.

Śpiewała z pamięci jedną piosnkę po drugiej, a głos jej, wcale nie zmęczony, przeciwnie, coraz większej siły nabierał, gdy przypadkiem wzrok jej padł na drzwi, które ktoś uchylił... Oniemiała! oparty o framugę, z rękami na pierśsiach założonymi i wzrokiem w nią utkwionym stał... Roman.

Nie chciała oczom wierzyć i przetarła je dłonią... tymczasem on się już zbliżył, dziwny jakiś...

— Co pan tu robi?!— zawołała wreszcie, prawie przerażona.

— Jak pani widzi... — odrzekł z uśmiechem, ciągle patrząc na nią.—Przyjechałem posłuchać śpiewu pani.

— Oh!—zawołała przekonana, że jej chce dokuczyć, i zmrożona nagle.—Wiem co pan o moim śpiewie sądzi... na nerwy panu działa!

Spojrzał zdziwiony nieco, bo się nie spodziewał tej odpowiedzi, a tem mniej powtórzenia słów swoich wypowiedzianych przed paru miesiącami do Kamilli.

— Czy pani myśli, że to co na nerwy działa, tylko przykre robić może wrażenie?—rzekł.

— Jeżeli tak działa, że aż rozdrażnia, to naturalnie miłem być nie może... — odrzekła.—Ale mniejsza o to. Jak się panie miewają?

— Zdrowe, Kamilla bawi się wybornie. Ale dla czego pani nie przyjechała do miasta? mówiono mi, żeś pani niezdrowa, a tymczasem widzisz inaczej...

— Kamilla upozorowała niepotrzebnie swoją nieobecność...—rzekła ze smutnym uśmiechem,—ktoby się tam w mieście zapytał, czemu mnie nie ma! Nikt mnie tam nie zna!

— Ja się pytam... jeżeli pani pozwoli,—rzekł dziwnie poważnym tonem.

Ten sam smutny uśmiech pojawił się znowu na jej ustach.

— Niedyskretne pytanie,—rzekła,—podobne temu, które mi pan zadałeś wtedy, gdy tańczyć nie chciała... Sądziłam, że od tej pory stałeś się pan już domyślniejszym...

Chmura jakaś osiadła na jego czole. Usiadł obok niej na krześle; Janina zajęła miejsce na kanapce pod oknem, kanapce pamiętnej Romanowi z rozmowy z Kamillą. Milczał długo i tarł dłonią czoło, jakby ztamtąd chciał spędzić myśl jakąś natrętną.

— Czy na to nie ma rady? — wyrzekł w końcu, nie odpowiadając jej wprost.

Janina zrozumiała, ale trochę była zdziwiona nagle troskliwością. Spuściła głowę, bo nie chciała spojrzeć mu w oczy w tej chwili.

— Staram się ją wynaleźć...—rzekła cicho.

— Jakto?

Zdawało się, że Roman obudził się nagle ze snu.

— Poszukam sobie innego, *prawdziwego* miejsca, stosowniejszej pracy, gdzie moja pozycja przestanie być fałszywą... — rzekła ze szczerością.

— Miejsca? — powtórzył zawsze tym samym tonem.—Jakiegoż to miejsca pani poszuka?

— Nauczycielki... — odrzekła spokojnie — Świat szeroki!

Wstał, i zaczął chodzić wzdłuż pokoju, widocznie walczył z sobą, znać to było na jego twarzy.

— Panno Janino!... — wyrzekł w końcu zbliżając się znowu, ale nie siadając, a w głosie jego była prośba jakaś miękka, rzewna.

Ją zadziwił może ten ton dziwny, bo podniosła głowę i ukradkiem spojrzała na Romana.

— Słucham... — rzekła, czekając co ten wykrzyknik zapowiadał i ośmielając go do mówienia.

— Panno Janino... — mówił dalej, — takbym pragnął, żeby pani raczyła uważać mnie za życzliwego sobie! Wszak to ulga w każdym cierpieniu gdy się wie, że jest ktoś co z nami współczuć potrafi...

Milczała, po jej twarzy płomień przechodziły i znów nikały, wahała się, i była przelekniona, sama nie wiedząc dla czego.

— Wdzięczną panu jestem...—odrzekła mimowoli cichszym jak dotąd głosem. — Współczucia nie odrzucam, bo to dar wspaniałomyślny bogacza... a od pana tem mi droższy, że nie sądziłam: aby pan był zdolny do uczuć podobnych...

— Wiem, że mnie pani odsądziłaś od wszystkiego, co tylko nazwę szlachetności nosi... — rzekł już z uśmiechem, który w nadzwyczaj miły sposób zmieniał jego rysy.

— O nie!—zawołała ze szczerością. — Widzę, że się pomyliła, i bardzo mi przykro...

Przerwała. bo stała się rzecz, która ją zakłopotowała nagle... Roman stał przed nią i wyciągał rękę swoją ku niej nieśmiało z wyrazem prośby.

— Chcesz mi pani podać rękę na zgodę?—mówił.

— Ależ ja nie gniewałam się wcale... — odrzekła.

Jego słowa widocznie nie zaspakajają, bo stał ciągle z wyciągniętą dłonią, więc złożyła na niej swoją z nagłym rumieńcem na twarzy. Roman ścisnął ją silnie i trzymał dłużej niżli należało...

— Wierź pani teraz, że nie jestem takim strasznym człowiekiem, jak pani dotąd myślała,—mówił zawsze z uśmiechem.—Może mi pani zaufać teraz?

Zaśmiała się trochę ze „strasznego człowieka“, ale jeszcze była zakłopotaną nieco.

— Zaufać, w czym?—rzekła. — Powiedziałam panu przecie całkiem otwarcie, że myślę o swojej przyszłości; to jedyna moja tajemnica.

— Właśnie o tem chcę mówić z panią,— odrzekł poważnie.—Chcesz pani szukać sobie... miejsca... Możeby ja mógł dopomóc w tem pani? Tylko niech się pani nie obraża! — dodał widząc, że uczyniła ruch, który zrozumiał za odmowny.

— Nie obrażam się...—odrzekła. — Ale to tak dziwnie by wyglądało... nie potrzebuję przecie panu tego tłumaczyć...

Była w tej chwili mocno zirytowaną tem zainteresowaniem się jego... żałowała, że sama zaczęła o tem mówić. Skarżyć się nie lubiła, a więcej jeszcze nie lubiła, by ją kto żałował.

— Dziękuję panu, — dodała. — Może potrafię dać sobie radę sama...

— Pani mnie nigdy zrozumieć nie chce!—wyrzekł z żalem, patrząc na nią.

— Owszem, rozumiem, że pan ma dobre chęci i dobre... serce, gotowe pomóc sierocie, litujące się nad jej losem... Ale dziwną mam naturę... Nie lubię nikomu być dłużną... wolę radzić sobie sama.

— Masz pani wiele dumy... zawiele! Więc moja prośba odrzucona?

— Dziękuję panu serdecznie... ale nie mogę przyjąć pomocy od pana.

Wypowiedziała to tonem naturalnym, serdecznie nawet, ale stanowczo.

Na Romanie jednak te słowa przykre uczyniły wrażenie. Nie mógł jej przecie powiedzieć, że prosi ją, by się niczem nie wiazała, bo miejsce, które pragnął jej ofiarować, była to godność pani w Wasilcach, jego żony... Nie mógł tego uczynić, bo to młode dziewczę nie zdawało się lgnąć ku niemu wzajemnem uczuciem, a bał się wyrzec stanowcze słowo, gdyż stara nieufność podszeptowała mu podejrzenie, iż był nadto świetną partya, aby mu biedna, choć nie odplacająca uczuciem za uczucie sierota kosza dać miała... i dla tego, że nie mógł jej tego powiedzieć, smutny był bardzo...

Janina spojrzała kilka razy ku zamysłonemu, nareszcie przerwała milczenie.

— Czy wolno mi wiedzieć jaki interes zmusił pana opuścić miasto w czasie hucznych zabaw, i wybrać się w naszą zapadłą krainę?

Westchnął głośno zbudzony z marzeń do rzeczywistości.

— Oblałaś mnie pani zimną wodą...—rzekł, — czy moja obecność ciąży pani?

— Czy jej ciążyła? nie... ale—nie powinien był tej obecności przedłużać, bo... żenowała ją dziwnie.

— Tego nie mówiłam, ale ciekawa jestem co za powód przyjazdu pana. Może pan po słowie z Kamillą i przyjechałeś po pierścień rodzinny na zaręczyny?

— Z Kamillą? pani wie, że to niepodobieństwo!

— A tymczasem ją pan bałamuci... Ale co mnie do tego! Więc cóż za powód?

— Nie bądź pani tak niecierpliwa!... Miałem interes do Wasilec, a ponieważ się tu wybierałem, ciotka mnie prosiła, bym się widział z jej rządcą, który pieniądze nie przysyła.

— Czemuż mi pan tego od razu nie powiedział. Nie widział się pan jeszcze z rządcą?...—zawołała, a na ruch zaprzeczenia z jego strony zadzwoniwszy, wydała rozkaz, by przywołano pana rządcę.

Roman patrzył na nią z uśmiechem.

— Musisz pani być energiczną!—rzekł. — Czy to dla tego, żeby mnie się pozbyć?

— Dzień zimowy krótki, — rzekła z prostotą,—a nie sądzę, żebyś pan chciał tu nocować...

— Słusznie się pani domyśla,—rzekł,—wracam dziś do siebie, a jutro... do miasta niestety!

— Niestety?—powtórzyła z uśmiechem.—Czy ten powrót przykroć panu sprawia?

— Przyjemność w każdym razie niewielka. Pani nie zna miasta w porze karnawałowej? z odrazą myślę, że mi w ten wir wrócić trzeba!

— To i czemuż pan wraca?—odrzekła swobodnie,—gdyby była panią swojej woli, nie bymnie nie zmusiło czynić coś, co się nie zgadza z mojem usposobieniem.

— Czyż jesteśmy panami naszej woli?... Przymus wszędzie i zawsze...—zauważył smutnie.—Obiecałem Kamilli, że będę na pikniku pojutrze...

Służący wszedł oznajmiając, że pan rzadca czeka. Konferencya zajęła sporo czasu, przeciągnawszy się aż do obiadu. Wówczas dopiero Roman zeszedł się z Janiną w jadalnym pokoju.

Podczas obiadu zabawiał ją opowiadaniem o balach i zebraniach w stolicy; opowiadał zajmująco, z werwą, widocznie pragnąc rozerwać Janinę, ale w tonie głosu przebijało nieco melancholii, co daleko więcej podobało się Janinie jak owa dawniejsza ironia, która ją tak zniechęcała do niego.

Wstawszy od stołu, przyznała w duszy, że mu nie zarzucić nie mogła; postępował z nią jak ze swoją równą, grzecznie, delikatnie, życzliwie nawet; nie był nadto śmiałym i narzucającym się, ale takim jakimby zawsze rada go widzieć...

I ona także narzucać mu się nie chciała. Przyjechał—myślała—za interesem, jej towarzystwo było *un mal nécessaire*, które znieść musiał, nie trzeba więc nadużywać jego grzeczności. Dla tego więc pozwoliła mu wynudzić się przeszło godzinę samemu w salonie, a gdy tam weszła nareszcie, zastała go siedzącego przy fortepianie z niezbyt wesołą twarzą.

— Nareszcie!—zawołał wstając szybko z rozjaśnionem obliczem.—Myślałem już, że panią nie zobaczę przed wyjazdem! Przecie obowiązkiem pani bawić gości!—dodał żartem.—Muszę jeszcze czekać na jakies tam rachunki...

— Obowiązek ten spełniam z przyjemnością,—odrzekła tym samym tonem, — ale znajduję, że gość najlepiej się bawi, gdy nie jest krępowany.

— Lepiej więc skazywać go na nudy... Panno Janino, pani nie masz serca!

— Być bardzo może! niepotrzebne mi ono wcale...

— Tak pani mówi... a jednak radbym bardzo wiedzieć...

— Pan? nie pojmuję do czego by się panu to zdało!

Była znowu niezadowolona z obrotu jaki bierze rozmowa...

— To ważny dla mnie problemat... jako dla badacza serc ludzkich, — dodał szybko z obawą, czy nie zanadto powiedział.

— Czy pan ma zwyczaj wszystkich tak egzaminować?

— Są ludzie nie warci mojej uwagi.

— Mogłabym pana prosić abym i ja do tych wyjątków należała? nienawidzę kwestyi osobistych...

Wyrzekła to całkiem swobodnie, dając mu w uprzejmy sposób do poznania, że ta rozmowa jej niemiła. Roman spoehmurniał.

— Och!—zawołał podrażniony. — Serce młodej panny to otwarta księga, to raczej pamiętnik, do którego każdy może swoje imię zapisać...

Janina spojrzała na niego i spoważniała nagle.

— Przykro mi słyszeć podobne zdanie świadczące o zwątpieniu. Nie sądziłam aby pan był taki... sceptyczny... Nie umiem nawet wytłumaczyć sobie powodów podobnego zapatrywania,—rzekła mimowoli wypowiadając myśl swoją. — Pan chyba nie może się uskarżać na życie... — dodała.

Roman poruszył się gwałtownie; twarz mu pobladła i głowę spuścił w dłońe ją ukrywając. Po chwili, nie podnosząc głowy, spojrział na Janinę wzrokiem, w którym cała namiętna, ledwie hamowana miłość jego się malowała.

— Jeżeli jest na świecie człowiek nieszczęśliwy...—rzekł niskim, przyciszonym głosem,—to ja nim jestem... w całej pełni!... Pomimo, że pani się dziwi... tak! jestem pełen zwątpienia.

Spuścił znów głowę w dłońe i zamilkł.

Janina czuła się poruszona; spojrzała serdecznie w jego stronę, ale zobaczywszy przed sobą zamiast twarzy, dwie piękne silne dłońe zanurzone w ciemnych włosach, pomyślała, że coś powiedziec wypada, gdyż spojrzenie nie wystarczy... i słowa przysły jej same na usta; nie potrzebowała się silić na sztuczne wyrazy, tylko wypowiedziała to, co jej w tej chwili serce podszepnęło:

— Jaki pan dobry... sam potrzebując pociechy, starałeś się szczerzyć ją w mojem sercu jak balsam, pomoc swą ofiarowując sierocie... O Bóg panu zapłaci!

To było więcej niż siły Romana znieść mogły. Czuł się obezwładniony jak dziecko, czuł potrzebę, konieczną potrzebę wyznania jej wszystkiego... moc jakas parła go do jej stóp... a ruszyć się nie mógł, i zdawało mu się, że życie z niego uchodzi...

Milczenie przeciągało się tak długo, że Janina, patrząca ciągle na pochyloną postać Romana, zaniepokoiła się. Serce jej uderzać mocno poczęło na myśl, że ktoś obok niej cierpi... bo to było widoczne, on cierpiał.

— Co panu jest?—zapytała cichym, łagodnym głosem.

Wstała, podeszła ku niemu i bezwiednie prawie, chcąc w jakibądź sposób ulgę mu przynieść, dłonią dotknęła delikatnie jego dłoni.

Rzucił się jak iskrą elektryczną tknięty, i błędnym nieco wzrokiem patrząc na nią, porwał jej rękę jak zdobycz szacowną.

— Co panu jest? — powtórzyła znowu, lekko nad nim pochylona, niespokojnie śledząc wyraz jego twarzy.

Uśmiechnął się takim uśmiechem, jakiego nigdy dotąd nie widziała na jego ustach.

— Nic...—szepnął cicho,—już przeszło...

Nie tłumaczył się dłużej, tylko uśmiechał się ciągle i patrzył na nią rozpromienionym dziwnie wzrokiem, wiążąc w obu dloniach gorących jej dłoń maleńką.

Na nią ten wzrok i ten uścisk magnetycznie działał, upajająco... i dziwnie błogo. Takie potężne współczucie miała w tej chwili dla niego, że Bóg wie co by dała, żeby mu ulżyć.

— Czy mogę co uczynić dla pana?—pytała.— Jesteś pan tak bardzo błady...

Roman odzyskał już siły fizyczne i moralne do równowagi wracać poczęły. Mileczeń musi! Jeżeli jest przeznaczone mu, żeby ona należała do niego, to wyzna jej swoją miłość, aż wtedy, gdy poczuje, że ona urosła, do tej potęgi co jego własna. Kto wie czy w obecnej chwili serce Janiny nie skłaniało się ku niemu, ale ta skłonność była przed jej litością, niż innem uczuciem... O! tego on od niej nie przyjmie.

— Przebac mi pani... — szepnął, nie mogąc jeszcze nad głosem swoim zapanować, który drżał.—Była to chwilowa słabość, za którą się wstydzę...

— Przeraziłeś mnie pan! — rzekła serdecznie.—Może to i moja wina, żem rozdrażniła pana niepotrzebnie...

— O! pani winy żadnej nie ma! — zaprzeczył,—przeciwnie. Pani nie możesz być winna, nie wiedząc nic...

Trzymał ciągle jej rękę w uwięzi, obejmując ją swojami, nie ośmielił się nawet podnieść jej do ust, które tak spragnione były tej rozkoszy!...

— Czy mogę panią prosić o wielką łaskę?—rzekł.

— Potrzeba panu czego?—śpiesznie zawołała, zadowolona, że czemś mu się przysłużyć będzie mogła.

— Moje nerwy są w okropnym stanie rozdrażnienia.—rzekł starając się przybrać ton żartobliwy,—muzyka rozkosz by mi sprawiała!...

— Ależ z największą chęcią! — przerwała żywo, gdy nagle chcąc się ruszyć z miejsca, zauważyła, że nie jest panią swęj ręki, i wysunęła

ją powoli z dłoni Romana, twarz jej cała zapłonęła rumieńcem...

Pobiegła do fortepianu, ażeby ukryć pomieszenie, i co prędzej grać zaczęła.

Grała długo, przerywając sobie tylko od czasu do czasu pytaniem—czy mu się podoba? Romanowi podobało się wszystko, siedział zagłębiany w fotelu, zdala od niej, i nie spuszczał z niej oczu.

Nareszcie i godzina rozstania nadeszła... Służący wszedł z oznajmieniem, że pan rzadca jest w kancelaryi i konie zaprzężone.

Oboje równocześnie wstali, jakby jedną myślą tknięci.

— Ha! już czas! już czas! — wyrzekł Roman z dziwną jakąś intonacją w głosie.

Powoli, jakby namysławiając się nad każdym krokiem, zbliżył się do Janiny, i wyciągnął dłoń swoją. Długo trzymał jej rękę, a potem ściśnął ją silnie.

— O jak mi się jechać nie chce! — westchnął.

— Zegnam pana, — rzekła Janina z prostotą.

— Nie! — zawołał, pochylając się nieco nad nią.—Ja panią nie żegnam!... *do widzenia!*

Pochylił się niżej jeszcze, delikatnie, lekko, dotknął ustami jej ręki i puścił ją zaraz. Jednocześnie skłonił się i szybko wyszedł, jakby uciekał.

Janina została na tem samym miejscu nieruchoma; ręka jej z uczuciem uścisku jego dłoni opadła w dół bezwładnie... Stała tak długo, jak martwa, aż ją głos dzwonek od sani Romana ocknął, i blask kagańca w okna zamigotał... Wtedy podniosła silnie zacisnięte ręce do czoła...

— On chyba naprawdę nieszczęśliwy!...— wyszło z jej ust ściśnionych.

(Dalszy ciąg nastąpi),

NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Com zagrał jakiś kawałek, wnet mię proszono o jeszcze. Kiedym wreszcie, nie chcąc nadużywać cierpliwości mych słuchaczy, powstał od pianina, poczęto mi dziękować za chwilę przyjemności, którą jakoby sprawilem wszystkim. Wszyscy mi prawili komplementy *à propos* mojej gry, a ja słuchając ich, o ile musiałem mieć bardzo zakłopotaną minę, o tyle byłem zadowolony z siebie, ile razy spojrzalem w stronę mojego *vis à vis*, w którego przesłicznych oczach zdaje się, iż urosłem znacznie, odkąd zacząłem grać. Za to mogłem być pewny, że ani o milimetr nie urosłem w oczach owych Anglików, grających w szachy; skończyłem grać, a oni ciągle siedzieli nad szachownicą, tacy nieruchomi, jakby nie wiedzieli, iż jednak coś działo się w tej sali... Byliby wyżsi nad to? Cokolwiek bądź, przekonalem się, że oprócz nich, wszyscy mi byli wdzięczni za ten „koncert“ (jak się uprzejmie o mojej grze wyraziła piękna pani Stone), a w tej liczbie i nasz rzekomy Dumas, któremu moja gra, jak zauważyłem, od razu dostarczyła wielce pożądanego tematu do dłuższej rozmowy z panią Stone. Zauważyłem również, że ta ostatnia słuchała coraz chętniej, choć nie zdawało mi się, ażeby to jej mężowi sprawiało specjalną przyjemność...

Tymczasem zaczęto nakrywać do stołu, do podwieczorku. Widząc to, ażeby nie przeszkadzać lokajom, całe towarzystwo udało się na pokład. Jedyny wyjątek stanowili dwaj Anglicy-szachciści, którzy widocznie pragnęli dokończyć partyi. Stopniowo zaczynaliśmy się bawić ich kosztem.

Znalazłszy się na pokładzie, ujrzelśmy przed sobą, przed dziobem okrętu, jakby trójką ekierkę, wychylającą się z morza, a jakby utulo-

na w mleczną gazę. Była to skała Gibraltaru, sam cypel. Łądu jeszcze nie było widać.

Jednocześnie zauważyliśmy, że w aurze zaszła niemała zmiana. Niebo powlekło się chmurami, których całe tabuny ciągnęły od strony Hiszpanii; powietrze, tak duszne niedawno jeszcze, nie tylko się orzeźwiło, ale i ochłodziło także; od północy zawierał dość silny wiatr, który przyjemnie muskał policzki, a już zaczynał z lekka marszczyć toń morską; morze, przed godziną jeszcze gładkie zupełnie, jak polerowane, zaczęło dostawać jakby gęsiej skórki, a drobne bałwanki, zalamując się tu i owdzie, poczęły tworzyć białe plamki, które się wydawały tem bielsze, że morze wogóle pociemniało, stało się granatowe. Opalowa mgła, która w Tangerze, jak wielka pokrywa, unosiła się nad morzem, podzielała się gdzieś; powietrze stało się przezroczyste, a widnokrąg rozszerzył się znacznie. Nie uszło także naszej bacności, że okręt, który dotychczas płynął bez najmniejszego wahania, jak po tafli jeziora, teraz zaczął się kołysać zlekka. Wystarczyło spojrzeć na końce masztów, poruszających się to w jedną to w drugą stronę—jakby ktoś wodził laską po niebie—ażeby dostrzedz to łagodne kołysanie się okrętu.

— Zdaje się, że będziemy mieli burzę, rzekł, rozglądając się, nasz towarzysz-Francuz, a zwróciwszy się do pani Stone, wskazał na owe drobne bałwanki, które w języku marynarzy nazywają się *barankami*, a zazwyczaj bywają zwiastunami nadciągającej burzy. „Tak, tak, możemy mieć burzę,“ rzekł dziobaty doktor okrętowy, który, przechodząc koło nas, dosłyszał przepowiednię przygodnego wielbiciela pani Stone. „Czyś pan kiedy znajdował się na morzu w czasie burzy?“ zapytała mnie moja jasnowłosa *miss*. Odpowiedziałem, że jeśli się sprawdzi prorocstwo naszego Francuza, to będzie to moja pierwsza burza... Z kolei zaczęła się rozmowa na prozaiczny temat morskiej choroby, rozmowa, w której całe towarzystwo wzięło udział, a która po chwili, dzięki niewyczerpanemu humorowi naszej francuzkiej czwórki, coraz bardziej stawała się wesołą. Posypały się dowcipy i koncepty, w czem oczywiście Francuzi mieli pierwszeństwo nad Anglikami, a mężczyźni nad kobietami. Co chwila rozlegały się wybuchy śmiechu—grube go męskiego i srebrzystego kobiecego, — aż w końcu, po jakim kwadransie takiej humorystycznej rozmowy, zwróciłem uwagę naszych pań, w miarę, jak się śmiejemy, na morzu przybywa *baranków*, a okręt także zdaje się coraz bardziej trząść od naszego śmiechu. Jakoż zauważyliśmy istotnie, że im bardziej zbliżaliśmy się do Gibraltaru, którego cypel skalisty jakby rósł w naszych oczach, tem bardziej zaczynałyśmy się kołysać. Mimo to nie traciliśmy kontenansu, a moja złotowłosa *miss*, która mnie zapewniała, że nigdy nie choruje na morzu, wydawała mi się jeszcze piękniejszą, kiedy wiatr igrał z jej lokami. Przypatrując się temu, doznawałem dziwnego uczucia: oto żalowałem, że nie ja jestem tym wiatrem.

Tymczasem zaczęły się ukazywać wybrzeża Hiszpanii, faliste i pogarbione miejscami, a takiego niebieskawego koloru, jak pejzaże na obrazach Leonarda da Vinca. Była godzina trzecia. Słońce, co chwila przesłaniane chmurami, zniżyło się znacznie, a powietrze miało jakiś odcień błękitny. Na dowód, że się zbliżamy do brzegu, ukazały się mewy, które fruując nisko, nad samą powierzchnią morza, wydawały się dziwnie białe na sinem tle wody.

Upłynął jeszcze kwadrans i zaczęliśmy wpływać do portu, który, oglądany z pokładu naszego okrętu, robił wrażenie olbrzymiej areny pośrodku olbrzymiego amfiteatru. Po prawej stronie starczała niebotyczna skała Gibraltaru, pod którą, nad samem morzem, bieliły się domy osady angielskiej, strzeżone przez szereg ogromnych armat, wycelowanych na morze; w głębi jeżył się las masztów okrętowych; na lewo zaś, jak okiem sięgnąć ciągnęło się górzyste, łagodnie pogarbione wybrzeże, na którym tu i owdzie piętrzyły się wioski hiszpańskie. Od chwili, kie-

dysmy minęli latarnię morską, strzegącą wejścia do portu, okręt przestał się kołysać, cośmy skostatowali z przyjemnością.

Ferdynand Hössick.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Jedyny cień

SZKIC

przez

Marcelego Strzemięczyka.

„są miłości bez gwiazd, Boga, nieba,
Te wkrótce zetrą serce na proch—tak go znużają.
Tak splamią, tyle razy do niczego zbudzą,
Tyle razy w sen cichy ogłupienia wtrąca,
Że wkrótce źródło wspomnień na wieki zamąca...“

Tak więc ten, co się pali sam, żar zapalony
Ciska na serca drugich, i winien pożogi,
Która człowieka wali losowi pod nogi
Zimnym—zwalanym trupem.“

Słowacki—Mazepa.

— Co to było, Jadwiniu? powtórz to raz jeszcze, proszę. O, nie wstawaj od fortepianu, musisz mi to raz jeszcze zagrać.

— Wiesz, Iruś, że nie lubię nic powtarzać. To barkarola Rubinsteina, f.moll,—nie poznałaś?

— A, to barkarola Rubinsteina? Znam ją, ale tak granej dawno nie słyszałam. Ładnie ją wykonywa moja pani Jadwiga. Przeniosłaś mnie tak daleko swą muzyką! Dałaś mi błyskawiczną chwilę złudzeń, tem cenniejszą, że się rozwiła z ostatnim akordem. Ty grałaś, a ja ztańd, z mej kanapki, patrząc na twe oczy, w których odbijało się rozmarzenie lagun wpółsenne, czy uwierzysz?—płynęłam razem z wami, z tobą i Zbigniewem, po „Canale Grande,“ w cichą noc letnią. Musi ci ta melodia przypominać twą poślubną podróż.—„Venise la rouge“ drzemie, z nadbrzeżnych pałaców, szarych wiekami, wycierają jakieś widma uroczę, z balkonów płyną dziwne pieśni, i wtórują pluskowi fal, co grają tęczą i opalami, w powietrzu drga nuta upojen, miłości, może i krwi pełna, nuta smutna zawsze i tajemnicza... Czy nie tak?—Uśmiechasz się? Poetyzuję?—Co to? Beethoven? O nie, przestań, to dla mnie za głębokie, za tytaniczne, zdaje mi się że tonę w bezdennym oceanie, a nademną huczy burza—zapadam się w nieskończoność... nie, nie, wolę mknąć leciuchno po lagunach przy dźwięku mandolin i echowych marzeń... Wstajesz? Więc to nieodwołalne. Chodź, siadaj tu przy mnie. Grasz jeszcze lepiej niż dawniej, z większą tylko dramatycznością.—Czy Zbigniew zawsze tak kocha twą muzykę?

— Mój mąż?—O tak, nie da mi próżnować—grywam całemi godzinami, gdy jesteśmy razem.

— Jakto?—Już?...

Jadwiga wstała z okrągłego taboretu i podešla do kanapki wybitej niebieskim adamaszkiem na której siedziała Irena.

— Co znaczy to twoje: już? Ireno, spytała.

— O nic, sądziłam tylko, że w niespełna rok po ślubie, macie jeszcze coś wymowniejszego do powiedzenia, gdy jesteście sam na sam, niż pieśni bez słów muzyki, choćby tak dobrej jak twoja... Nie ruszaj ramionami, mała hypokrytko, czyś już zapomniała o mojej lekkości w stylu? Cóż ja powiedziałam dziwnego, bogowie? Że się musicie kochać jak turkawki, nie, to zanadto sielsko—oklepane porównanie, ale na razie nie przychodzi mi inne do głowy, dające miarę gorącej małżeńskiej miłości,—co prawda czyż ich wiele w poezji?—Czekaj no, Filemon i Baucis, no, na to macie czas, Hektor i Andromaka, to zanadto klasyczne... no, już milczę, bo widzę że się dąsasz. Dziwnieś mi spoważniała, Jadwi-

niu!—Tęsknisz może za swym panem i władcą?—To dziś właśnie ten zjazd przyrodniczy w Krakowie? Chcę cię trochę rozruszać, widzisz. Dawniej, pamiętam, śmiałyśmy się obie z byle czego, było nam tak dobrze razem...

— I teraz dobrze nam razem. Kto powiedział, że kobiety bawią się tylko w towarzystwie mężczyzn, niech na nas patrzy. Jesteśmy żywą negacją tego zarozumiałego aforyzmu.

— Wcale nie, Jadwiniu, to dawno dowiedzione, że kobiety, gdy są same z sobą, to albo obgadują nieobecne przyjacielki, lub też prawią sobie arcynieszczere komplementa, ziewając skrycie.

Ja sto razy wolę męzkie towarzystwo, naturalnie, pod warunkiem żeby umieli rozmawiać i zająć mnie. A coraz trudniej to przychodzi, gdy kobieta zbliża się do przerażającej trzydziestki, i staje się coraz bardziej wymagającą. My dwie, widzisz, dlatego tylko nie nudzimy się z sobą, że za wiele nas łączy wspomnień, podobne koleje losu... O czem tak dumasz? Wiesz, seryo, tyś się zmieniła od czasu twego powtórnego zamążpójścia.—Badam cię uważnie... Gdzie dawna pogoda mojej serdecznej Jadwini? Jeżeli małżeństwo z miłości zmienia pełne życia i wesołości istoty w takie smętne posągi jak ty teraz to smutne.—Jesteś cała, jakby to powiedzieć... w tonie moll.—Śmiejesz się? O teraz odnajduję cię w tym błysku przelotnego uśmiechu, w tych dwóch listkach kameli, które ci na twarz wystąpiły.—Przyznaj się, Zbigniew musi najchętniej patrzeć na ciebie wtedy, gdy tak różowo na licu zakwitasz? Co?—Mała kobietka zrobiła iście kocia minkę, mrużąc figlarnie szaro—błękitne oczy, w które złośliwy chochlik nasypał w tej chwili pełno złotych iskierek. Wygięła wdzięcznym ruchem swą giętką kibić, spoglądając w matową twarz przyjacielki, oblaną przy jej ostatnich słowach leciuchną luną rumieńca.

Na świecie szalał wicher styczniowy, unosząc tumany śniegu; dzwicząc szymbami, świst jego łączył się z dalekim, przygłuszonym gwarem miasta, dochodzącym tu niewyraźnie przez dobrze zaopatrzone okna i ciężkie portyery. Tem zaciszniej i milej było tutaj w salonie pani Ireny, tak jakoś dobrze i bezpiecznie wśród woni irysu miękkich mebelków i powodzi fortepianowych dźwięków, unoszących się w przestrzeni.

— Jak się te świece palą nieruchomo, ani drgnie płomień, mimo silnego wiatru na dworze,—rzekła Jadwiga, wskazując na pięcioramienne srebny kandelabr, stojący na niskim, marmurowym blacie rzeźbionej konsoli—wyglądają jak malowane, spojrzysz—Iruś! O, teraz jedna z nich zajaśniała błękitnawym płomykiem. Według gminnego podania Anglików, duch musi się znajdować w pokoju.—Wzdrygnęła się lekko.

— Chyba czytujesz Maeterlincka, Jadziu, i symbolistyczne utwory modnych dziś dekadentów. Co za brednie! Zkąd ci na myśl przyszły duchy i Anglicy? Czy to twój mąż dał ci może zamiłowanie do spirytyzmu? on, ten trzeźwy badacz przyrody?—Wątpię bardzo. Choć, wiesz, że to otwiera takie niezmiernie horyzonty! Nieraz siedząc sobie w spokoju...

— Albo ty siedzisz kiedy w spokoju?—przerwała, uśmiechając się Jadwiga.—Ty nawet śpiąc musisz coś działać, nie odpoczywasz nigdy, terkotko, żywe srebro,—jak cię matka moja nazywała.

— Jednak czasem, choć istotnie nie często, miewam chwile takie, gdzie mi źle żyć, i wtedy chętnie przeniosłabym się na inne światy. Jakiś uczony francuz, zapomniałam jak się nazywa, dowodzi, że wszechświat cały otoczony jest fluidem, dusza to fluid, duchy to oddalenie się fluidów od siebie. Niebezpieczna to teoria... to znaczy, że po za teraźniejszością niema nic. Wzdrygasz się? Tak, to byłoby okropne.—I oczy figlarne przed chwilą małej kobietki spoważniały.—Co my wiemy zresztą? Nic, wielkie jedno nic... Coś tak pobladła?—Myślałam że cię rozśmieszę swą niby erudycją, a tu fiasco! Czy ty tęsknisz istotnie za mężem? Czy to daleko do Krakowa?

— Uspokój się, wróci twój anioł brodaty, wróci! — Zaśmiała się swawolnie. — Za kilka dni będziesz go miała, będziesz wpatrywać się w olimpijskie czoło pochodni wiedzy. — Cóż on pisze teraz, ten twój nadczłowiek? podobno pracuje nad arcyuczoną rozprawą „o instynkcie“ i ty mu służysz za sekretarza.

Rozpieściłaś go, wyobrażam sobie jak mu dogadzasz, uprzedzasz myśli... Słyszę zewsząd, żeś wzorową żoną i że, aż przyjemnie patrzeć na was, tak dobraną tworzycie parę.

— Gdy cię oratorsko — satyryczna swada opuści, Iruś, może mi opowiesz gdzie się tak kryjesz, że cię nigdzie spotkać nie można, rzekła Jadwiga, chcąc zmienić rozmowę.

— Ależ ja się nie kryję wcale. To wyście się zamknęli w swem gniazdku i nie wyglądacie na świat Boży. Przeciwnie, bywam w świetle i dużo. Wczoraj byłam na don Juanie w Teatrze Wielkim. Battistini był prosto — nieporównany. Wiesz, że don Giovanni to był zawsze mój typ to uosobienie epikureizmu, demonicznie pojęty, ironiczny, wielbiciel „di tutte le donne“, niezdobyt dla żadnej, a smutny w duszy... Wiesz, Jadwiniu, gdyby żył za mych czasów, zakochałabym się w nim bez pamięci, byleby został jedną z „mille étres...“ Chyba nigdy jednak ta potężna postać nie znalazła tak genialnego wykonawcy, jak ten dziwny Włoch, ze swą wyrazistą twarzą i szatańsko do góry zagiętymi kątami ust, choć nie jest właściwie piękny... — Jadwiga patrzyła z uśmiechem pobłażliwym na ożywioną twarzyczką pani Ireny i jej żywą gestykulację.

— Tak, Jadwiniu, śpiew jego i gra może jeszcze więcej, demoralizuje wprost młode umysły. — A to jak? — zaśmiała się głośno tym razem Jadwiga. — I ja szczerze podziwiam wielkiego artystę, ale nie widzę znowu...

— Żaraz zobaczysz. Wprost mej łoży siedziała jakaś para narzeczonych z rodzicami. Ona milutka blondyneczka, trochę w moim guście, wiesz, odwróciła się plecami do swego przyszłego, i tak się zaśluchiwała w śpiewie Don Juana, który w swym szkarłatnym płaszczu śpiewał cudną serenadę pod balkonem swej donny, że aż mi się żal zrobiło przyszłego jej męża, — rudy, gruby, a tak niepodobny do zdobywcy serc niewieścich! — Uśmiełam się w duszy, patrząc na jego komiczną minę. — Kręcił się na miejscu, i spędzał gniew swój na cukierki, których pochłonał moc ogromną... gotowa mu jutro odesłać pierścione! A czyż tylko jedna taka para była w teatrze! Pani Salezowa...

— Nie drap, kotko, dosyć masz nięco słusznosci, przyznaję, ale przesadzasz... Śpiew, sam, działa silnie na — kobiety, ale tenor w płaszczu czerwonym, działa, destrukcyjnie tylko na płytkie — *kobietki!* Coś dziś robiła?

— Co zawsze, z małemi odmianami. Rano byłam w kościele, bo pogoda — potem pojechałam trochę przewieźć mam Janię na spacer w Aleje, następnie, po obiedzie, przyszła mi myśl zabawa. Kazałam zwołać z całego domu dzieciaki, stróża, szewca, maglarki, i zebrawszy je w kuchni, sprowadziłam im szopkę. Trzeba było widzieć ich radość. — Jak się to biedactwo bawiło, i ja z niemi... Kazałam im usmarzyć olbrzymi półmisek faworków — to wywołało jeszcze większy entuzjazm, niech i te biedactwa wiedzą, że to karnawał! — boję się tylko, żeby się nie pchorowały z nadmiaru. Gdy zmierzchno, uspiłam Janię, kazałam podać światło i wzięwszy Bourget'a, usiadłam sobie tu do czytania. I ty lubisz Bourget'a, prawda? To prawdziwy chirurg naszych serc, tylko że jego skalpel ma brylantowe ostrze... rani, ołsniewa i goi naprzemian! — Drżałam z obawy, czy czasem nie przyjdzie fantazyja, któremu z mych wielbicieli odwiedzić mnie, choć to nie mój dzień. Nie byłabym w usposobieniu do flirtu, ani sprzeczeki salonowej.

Naraz ty dzwoniś... co za szczęście po tak długim niewidzeniu! Nie mam żalu, że mnie zaniedbałaś niedobra, i że tylko kilkodniowa nieobecność Zbigniewa przypomniła Ci twoją Iruś. — Jadwiga uściśnęła lekko dłoń mówiącej.

— Bardzo się cieszę, Jadwiniu, podjęła gospodyni, żeś przyszła i to mimo takiej niepogody. —

To tak miło przypomnieć sobie dawne dzieje, przeżyć myślą to co minęło, patrzeć na przyjazne twarze i cieszyć się ich szczęściem, tylko że my więcej gawędziłyśmy o przeszłości niż o naszym obecnym położeniu, to jest ja paplałam, swym zwyczajem, a ty słuchałaś tylko prawie. Rozmarzyły mnie dawne wspomnienia, a pamięć Grabowca, gdzieśmy się razem chowały, słodka twarz twej matki, która mnie kochała... dobre to były, święte chwile...

Irena przeszła się kilka razy po miękkim kobiercu zaściewającym salon, poczem zagłębiła się w bujającym fotelu, wprawiając go w ruch wytwornie obutą nóżką. Twarz jej, tak ruchoma zwykle, przybrała wyraz zadumy, z cienkich warg znikł zwykły im lekko ironiczny uśmiech. Po chwili potrząsnęła swą jasną główkę, jakby chcąc odegnąć coś od siebie.

— Jadwiniu! — zawołała, mówże mi o sobie, o nim, o twym mężu, szczęśliwi nie mają historii, nieprawdaż? Jak ty zeszczupiałaś!

Światło lampy padało wprost z pod błękitnego abażuru na bladą twarz Jadwigi, i jej wielkie oczy, bezgranicznie smutne, barwy nieokreślonej, morskiej, gęste ruchome brwi ocieniały je, rysując się, jak dwie żalobne smugi na białem, szerokim, czole. Z oczów przedzierała dusza. Nie była to twarz piękna rysami, lecz wyrazem wielkiego uduchowania, szerokie, pełne usta pąsowe, tchnęły życiem, zadając kłam melancholii spojrzenia. Wyniosła postać rysowała się w całej doskonałości form bogatych, w ciemno fioletowej sukni, z angielskiego materiału, kołnierz z haftu kremowego dobrze odbijał od kasztanowatych obfitych włosów, z mahoniowym odcieniem, zwiniętych na szyi w ciężki węzeł. Irena przypatrywała się jej badawczo.

— I nic mi nie powiesz? — Jestem niedyskretna? Kochacie się bardzo? — powiedziała, pytała serdecznym głosem Irena, bawiąc się wstążką swego eleganckiego negliżu z białej crêpe de chine w szlaki tureckie. Zawsze ze mnie ta sama waryatka, prawda? Ja pojmuję miłość nie przygłuszającą wesołości, a ty pełną smutku i powagi. Ja chcę panować, ty być uległą cichą Eunice, która nie opuszcza swego pana — kochanka nawet u wrót śmierci. Prawdziwa kobieta, i jaka śliczna ta twoja niewolnica. Nie każda może legalna chrześcijańska małżonka zdobyłaby się na heroizm tej złotowłosej poganki, ja może pierwsza, nie umiałabym tego... Ha, ha, — zaśmiała się nagle, — gdy pomyślę, że twój uwielbiony Petroniusz kazał ją smagać, nim się dowiedział, że on to właśnie jest jej bożyszcem!... co do mnie, grand merci za taką miłość... dotkliwą!

— Ty wolisz Messalinę posełającą na śmierć swych przelotnych wybrańców? Co, Ireno? — podchwyciła z uśmiechem Jadwiga, głaszcząc jednocześnie pieszczotliwie dłoń przyjaciółki.

— Ta przynajmniej, widzisz, odplacała mężczyznom, mściła się za poniewierane przez tyle wieków prawa kobiety... i takie potrzebne... Zarzy jednak na stronę, z nas dwóch tyś lepszą cząstkę obrała, Jadwiniu. Gdy mi czasem dokuży moja samotność wdowia, wtedy myślę o tobie i zazdroszczę ci trochę waszej gorącej miłości i ciepła domowego. Jestem szczerą, jak widzisz. Gdy mi tęsknota niemądra za minionem szczęściem odezwie się w duszy, wśród pustego mego apartamentu, gdy moje 27 lat upomną się o swe prawa, wiesz co robię wtedy? Jadę na Powązki. Dziwisz się? Posłuchaj. Siedzę tam długo, chodzę wśród pomników, odczytuję napisy, rozmyślam, i... to mi dobrze robi. Czasem późny wieczór tam mnie zaskoczy, nie boję się nic a nic. Po takiej wizycie u umarłych, wracam uspokojona do mego ciepłego kąta, wdzięczna losowi i wytrzeźwiona. Wtedy rozkoszuję się podwójnie szczębiotem Jani, ogniem mego kominka, zapachem mych róż, Bourget'em, Chopinem, zresztą Jania moja taka rozkoszna! Widziałaś? Poznała cię, swą ciocię, jak cię nazywa. To jakieś wyjątkowe dziecko, dziwnie rozwinięte na swoje 4 lata... Taka mała, żywa lalka dać może wiele szczęścia! Bądź co bądź, istnienie to dobra rzecz, w braku ukochanego towarzysza, otacza mnie piękno i harmonia, to co

zawsze kochałam, mam przytem moich ubogich, ochronkę... Wszelkim marom, złudzeniom, porywom serca czy zmysłów powiedziałam dobranoc, raz na zawsze, i dobrze mi z tem, a gdy nie chcą spać, daję im morfinę w postaci lekkiego flirtu. Isć za mąż powtórnie nie myślę, dwa razy nie można być szczęśliwą, jak nią byłam z mym Waławem, przytem z moją naturą niepodległą...

Jadwiga słuchała z pozorną uwagą wynurzeń młodej wdowy, oczy jej z natężeniem utkwione były w różowej twarzy zecce pani Iruś. Nagle podniosła głowę.

— Więc i ty tak kochasz wspomnienie Grabowca, Irenko? Mój drogi Grabowcie! — rzekła z nagłym wybuchem uczucia, — moje złote dni wiośniane, gdzie wy?

Irena zbита z tropu, spojrziała na nią ze zdziwieniem. Już zapomniała była wśród dalszych swych zwierzeń o ukochanej ich wsi, rodzinnem gnieździe Jadwigi. Tak błyskawicznie szybko zmieniały się obrazy i wrażenia w ładnej, kędzierzawej główce pani Ireny.

— Co tobie? — zaśmiała się srebrzyście. — Więc ty z Grabowca wracasz z myślami? Nie sądziłam, żeby ci tkwił tak głęboko w duszy. Zbi-gniew...

— Iruś, pamiętasz ty nasze stare lipy i łąkę gdzie kwitły smółki i dzwonki, i figurę Męki Pańskiej w końcu ogrodu? — przerwała Jadwiga jakimś sennym głosem.

— Pamiętam, naturalnie, pamiętam wszystko! I aleję grabową gdzie spacerowałyśmy z Syrokomlą w rękę, i starego stróża Macieja, i poczciwego Medora brytana, i jezioro...

Zacytowała z uśmiechem:

Pomnisz jezioro pogodne,
Gdzie rosły lilje wodne,
Gdzie trzciny z wiatrem się chwiały,
Jaskółki skrzydła kąpały,
I słońca złote zwierciadło
Do snu się kładło?

— Pamiętam, lubiłyśmy obie ten piękny wiersz starego poety francuzkiego. Co tobie — Jadwiniu, ty płaczesz? Mój Boże! co ci się stało?

— Nic, nie, te niemądre nerwy... niepotrzebnie i niezdrowo porusza stare popioły... — Jadwiga szybkim ruchem przesunęła chustkę po oczach.

— Jadwiniu, ty jesteś szczęśliwą przecież, odpowiedz że mi otwarcie. — Irena badawczo patrzyła na przyjaciółkę. — Spójrz mi w oczy, — rzekła poważnym głosem, siadając przy niej na kanapie.

— Już patrzę, mała despotko, — rzekła Jadwiga ze sztuczną swobodą. — Cóż to, chcesz mnie przeczytać na wskroś swemi niebieskimi oczkami?

— Czemu, jeśli jesteś szczęśliwą, oczy twoje takie smutne? Zawsze takie piękne, z wiecznym pytaniem w głębi — czy jeszcze nie znalazły odpowiedzi na nie? Wiesz, Jago, ja cię nie pojmuję doprawdy! czego ty chcesz właściwie od życia? Masz swego uwielbionego człowieka na własność, człowieka, którego imię jest na ustach wszystkich, a tak zawsze marzyłaś tylko o tem, żeby być żoną zwykłego śmiertelnika... Mało której kobiecie wysnuła się tak pięknie tęczowa przedza jej marzeń. *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?* Byłaś zawsze taką idealistką! A może twój pan zbliska nie jest tym samym, jakim zdaleka ci się przedstawiał, z po za różowych szkiełek wyobraźni?

Twarz Jadwigi powlekała się cieniami smutku, czarne brwi ścigały się na czole, a na ustach osiadł wyraz zmęczenia i bólu. Znać było, że ta kobieta przechodzi wewnętrzną walkę nad siły...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Za przykładem istniejącej od lat kilku w kutnowskim fabryki kapeluszy słomkowych pani Zakrzewskiej, zakłada obecnie w okolicach Pultuska jedna z pań fabrykę kapeluszy słomkowych. Materiałem surowym będzie słoma zwyczajna, odpowiednio chemicznie przyrządzona dla nadania jej jasno—żółtego, a co ważniejsza jednolitego koloru. Wyrobem zajmować się będą młodsze dziewczęta wiejskie, pod kierunkiem samej właścicielki, która przez czas pewien bawiła za granicą dla wydoskonalenia się w tem rzemiośle. Serdecznie powitać wypada tę nową fabrykę, która przemysł krajowy w okolicy podnieść może, a tyle kobiecych rąk pożytecznie i zarobkowo zatrudni. Wartoby, aby sklepy z kapelusznymi w większych miastach poparły usiłowania założycielki fabryki i dopomogły w szybszym obrocie zamówieniami na letni sezon, a swym odbiorcom chwalać wyrób słomki, nie mianowały go dla zachęty: „zagranicznym“, jak to się często zdarza z rozmaitemi przedmiotami zbytu.

— Kilka kobiet ze sfer inteligencji w Kielcach objawiło chęć przyjęcia obowiązków rachmistrzów przy spisie ludności. Życzeniu temu uczyniono zadość. Wogóle w guberni Kieleckiej obowiązki rachmistrzów powierzono kilkunastu kobietom, przeważnie nauczycielkom wiejskim.

— Na kursa akademickie dla kobiet we Lwowie zapisało się około 330 słuchaczek. Pomiędzy zapisanymi paniami znajdują się przedstawicielki wszystkich sfer towarzyskich, bogate i niezamożne, młode panienki, mężatki i matki dorosłych córek, nauczycielki, mieszczanki i kobiety z arystokracji, jak Excelencya pani namiestnikowa z Zamojskich księżna Sanguszkowa i marszałkowa hr. Badeniowa. Dowodzi to, że kursa zyskały poparcie ogółu i liczyć mogą na pomyślny rozwój w przyszłości.

— W Berlinie, na wniosek rektoratu akademii rolniczej, zezwoliło ministerium, ażeby na przyszłość za pozwoleniem rektora dopuszczano także kobiety do uczęszczania na wykłady w tej akademii. Tym więc sposobem będą się mogły gospodynie wiejskie, którym przypadł udział samodzielnej pracy na roli, przygotować teoretycznie i fachowo do trudnego zawodu, który dziś jedynie nieledwie z doświadczenia i praktyki długoletniej przyswoić sobie mogły, brak specjalnych wiadomości przyplacając licznymi pomysłkami i nakładem zbytecznych trudów.

— W Szwajcaryi powstaje pierwsze w Europie stowarzyszenie lekarek, które dotychczas liczy zaledwie 12 uczestniczek, to jest trzecią część lekarzy-kobiet w Szwajcaryi.

— Rada gminna w Arenheim, podała wniosek powoływania kobiet do „państwowych komisji szkolnych.“

— W Chrystianii prawnicze Stowarzyszenia norwęgskie wystąpiły z odezwą, domagającą się przyznania kobietom prawa zajmowania się adwokaturą nawet przy wyższej izbie sądowej, oraz mianowania ich na urzędy notaryusów. Gdyby te panie, którym podobne stanowisko w udziale przypadnie, zechciały położyć sobie jako cel główny, przedewszystkiem, obronę interesów prawnych—biednych, nieoświeconych, a tak często wyzyskiwanych włościanek i wogóle kobiet sfer niższych, mogłyby się nie mało przy-

służyć skłopotanym matkom rodzin, które same częstokroć wypłatać nie mogą siebie i swych dzieci z matni spraw opierających się o sądy i adwokatów. W zdobywaniu takich wyjątkowych stanowisk powinna kierować nadewszystko myśl istotnej *usługi* socyalnej, a nie chęć popisu, chwały pionierskiej lub postawienia na swoim, zwycięstwo bowiem kończące się tylko na osobistym tryumfie lub korzyści nawet materialnej, nie będzie rozwojem—sprawy, która o tyle postąpi, o ile zdobycze przyniosą dodatni skutek sięgający w głąb społeczeństwa.

— W mieście Lavoir, (okręgu Hay), pani Gil-lain, po zdaniu odpowiedniego egzaminu, została mianowaną *sekretarką gminy*.

— Z kobiet kształcących się na uniwersytecie genewskim, ukończyły studia i otrzymały stopień *licencj es sciences sociales*, panna Zofia Bossakówna i Justyna Winiarska z Warszawy. Dyplom chemika otrzymała panna Wanda Haberkantówna z Kalisza, córka pastora tamtejszego. W Bernie zdała doktorat filozofii „cum magna laude“ p. Ewelina Wróblewska.

— P. Helena Böhlau, znana już w piśmiennictwie niemieckim, jako żarliwa przeciwniczka wszelkich błędnych przesądów, przesady, egzaltacji i formułek światowych, w wychowaniu, napisała nowe dzieło pod tytułem: „Prawo Matki.“ (Das Recht der Mutter, Berlin, F. Fontane u. Co. 6 M.). Również i w tej powieści kreśli autorka obraz życiowych wypadków mogących świat niewieści żywo zająć, tembardziej że p. Böhlau włada piórem swobodnie i po literacku.

— Księżna Marya Hohenlohe-Schillingfürst, żona niemieckiego kanclerza, z domu księżniczka Sayn-Wittgenstein, uczyła się praktycznie sama pielęgnowania i doglądania chorych, i jej też staraniem powstały zakłady lecznicze dla biednych suchotników w Grabowsee. Księżna wraz z małżonkiem swoim ks. Klodwikiem obchodzą właśnie 16 Lutego swe złote wesele.

— W pierwszym Anatomicznym instytucie uniwersyteckim w Berlinie pracuje od pewnego czasu jako naukowa pomocnica, panna Klara Schneider. Doszła ona do takiej zręczności w przygotowywaniu i naprawianiu przyrządów i preparatów anatomicznych dla mikroskopijnych badań, że tajny radca profesor Waldeyer poleca ją doktorom, jako pomoc w wykonywaniu trudnych tego rodzaju robót, wymagających wielkiej uwagi, pamięci i dokładności w odrobieniu.

— W uniwersytecie Wrocławskim słucha wykładów w tym roku 34, w Berlińskim 93 pań., jako wolne słuchaczki. Oba te uniwersytety nie łatwo dopuszczają kobiety, nawet jako nadzwyczajne uczestniczki wykładów.

— W Medyolanie zostanie otwartą „Szkoła dla matek.“ W Niedziele i Czwartki odbywać się będą wykłady, dla kobiet zamężnych i panien, które ukończyły rok siedemnasty, a treścią pouczania będą: Hygiena ogólna, Hygiena dziecka, główne zarysy wychowania i prawo rodzinne. Bardzo to mądrze pomyślana szkoła; bo niedość zakładać instytucje ratujące niedolę zaniehdanego dziecka, lecz oświecać rodziców, a mianowicie matki, jak młodem pokoleniem fizycznie i moralnie kierować należy, to istotne dobrodziejstwo społeczne, idące najprostszą drogą, przez—matki do dzieci.

Z bieżącej chwili.

— Według doniesienia Agencji Rosyjskiej, kuratorem okręgu naukowego warszawskiego zamiast ustępującego r. t. Apuchtina został mianowany profesor uniwersytetu odeskiego, p. Ligin, człowiek niezwykłego wykształcenia humanitarnego.

— W tym sezonie w Krakowie D-r Zofia Daszyńska rozpocznie wykłady ekonomii społecznej dla kobiet. D-r Daszyńska jest docentką akademii Humboldta w Berlinie.

— Paryska „Revue pénitentiaire“ poruszyła w końcu zeszłego roku ważną kwestyę podziału kar na hańbiące i niehańbiące, rozesała też do najwybitniejszych kryminologów zaproszenie o zabranie głosu w tej sprawie. W zeszytzie styczniowym tego pisma zabrał w tej materii głos profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, d-r Krzymuski.

— Komitet pomnika Pasteura w Paryżu rozporządza już funduszem, wynoszącym fr. 211,338, a zebrany z składek z całego świata.

— Prof. Maryan Sokolowski ogłosił sprawozdanie z działalności towarzystwa imienia Matejki w Krakowie; towarzystwo to istnieje już dwa lata i przez ten czas zdziałało wiele ku czci nieśmiertelnego Mistrza.

— W Warszawie ma powstać pismo codzienne poświęcone specjalnie sztuce scenicznej, p. t. *Kuryer Teatralny*.

— W Bath, w Anglii, zmarł w tych dniach Izaak Pitman, przeżywszy lat 84, znany, jako wynalazca stenografii. Pierwszy podręcznik, dotyczący szybkopisania, rozszedł się w 140,000 egzemplarzy. Odegrał on wielką rolę w życiu mężów stauu, dziennikarzy i innych działaczy, potrzebujących prędko notować cudzą mowę.

— Świat muzyczny obchodził w tych dniach setną rocznicę urodzin Schuberta. Wielkiemu temu pieśniarzowi w „Ruchu muzycznym“ poświęcimy oddzielną charakterystykę.

— W British Museum znajduje się dotąd rękopis nieznanego znakomitego poety greckiego Bacchylidesa, współczesnego pisarza Pindara i jego rywala; rękopis ten, będący własnością Muzeum, pochodzi z poszukiwań wykonanych w ostatnich czasach w Egipcie, składa się z 30 zwojów papyrusa znajdujących się w dobrym stanie. Rękopis zawiera ody, podobne do ód Pindara, oraz trzy poemata epickie p. t. „Te-seusz“, „Yo“ i „Idas“. Cały świat naukowy oczekuje niecierpliwie ogłoszenia tych rękopisów, zawierających podobno skarby duchowe. *Ateneum* londyńskie donosi, że dyrektorowie Muzeum zabrali się do wydawnictwa z całą energią i pilnością.

SPROSTOWANIE.

W wierszu p. t. „Łuk i arfa“ w Nr. 6-tym „Bluszczu“, w wierszu drugim, szpalcie 1-ej zamiast sokoła powinno być *do koła*—w szpalcie 2-ej w wierszu 28 zamiast *we sfory* powinno być *we spoly*.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkusz 2 powieści p. t. *Takisara*, przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego.

Treść: W upadku, przez St. Rossowskiego. — Pogawędka, przez ?? — Eliza Orzeszkowa, przez J. Nitowskiego (dalszy ciąg). — Na łasce. Powieść, przez M. N. Sas-Junoszę (dalszy ciąg). — Na morzu, przez Ferdynanda Hösicka (dalszy ciąg). — Jedyny cierń, szkic, przez Marcelego Strzemieńczyka. — Kronika działalności kobiecej — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: *Takisara*, powieść przez autorkę powieści *Książę Saracinesco* (F. Marion Crawford). Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 28 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.